Lwów, 28. Października. №129. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr.— półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XIV.

(Ciąg dalszy)

O zmroku dano Edmundowi znać, że pani hrabina go czeka z herbatą. Ale Edmund się rzucił na kamerdynera z gniewem, mówiąc, ażeby ruszał precz i nieprzeszkadzał. To nie musiało się zapewne wydarzać nigdy, lub bardzo rzadko, bo w chwilę potem otworzyły się drzwi od sypialni Edmunda i weszła sama Adela. Kto wie, co-by się było już teraz stało, gdyby nie to, że jeszcze nie było światła w tej komnacie i Burka, ostrzeżony wiadomością przyniesioną przez kamerdynera, napomniał zaraz Edmunda, ażeby na wypadek wejścia hrabiny zachował się spokojnie i nie wydał się naprzód z tajemnicą. I to bardzo pomogło, bo jak tylko Adela weszła, Edmund zaraz odezwał się do niej:

— Przepraszam cię, moje dziecko, ale mam tak pilną robotę z Burką, że przyjść na herbatę nie mogę.

Te słowa wymówił on jak tylko mógł najspokojniej i zaraz dodał:

— I nawet dobranoc ci, bo mamy jeszcze ze dwie godzin zajęcia a ja już teraz tak jestem zmęczony, że mi się kręci w głowie i oczy mi się kleją.

— A nie można to było odłożyć do jutra? — spytała z dziwną słodyczą i troskliwością Dziwożona.

— Nie można, — odpowiedział Edmund z niecierpliwością i nie zwracając nawet głowy ku żonie.

Wtedy Adela przystąpiła do niego, położyła rękę na jego ramieniu, złożyła głośne pocałowanie na jego czole i mówiąc: Dobranoc ci, moje życie! — odeszła.

Pocałowanie to sparzyło go jakby ogniem piekielnym, ale ani zadrżał pod niem zwarzony cierpieniami małżonek, bo już powziął był silne postanowienie wytrwać spokojnie aż do północy — aż do tej strasznej północy jego spokoju i szczęścia i życia, która miała ogłosić mu wyrok rzucający go w piekło, — albo ściągający go z nieba ułudy na ziemię rzeczywistości. Bo już-to zawsze, jeżeli możemy mieć jakieś chwile w tej ziemskiej wędrówce, które mogą zasłużyć na imię szczęśliwości nadziemskiej, to niemi będą te tylko, w których jeszcze nie mamy nawet ani przeczucia odmiany. Raz doświadczona obawa, trwoga lub podejrzenie, choćby ich powodem było tylko złudzenie serca lub oka, odbierają cały urok niebieski szczęściu i zostawiając w nas przekonanie, że choć tak nie było, jednak może-by było być mogło, sprowadzają nas na zwyczajną drogę, właściwą każdemu ziemskiemu uczuciu i wijącą się między kwiaty, ale kwiaty z cierniami.

Nareszcie ów długi i tak dla Edmunda okropny wieczór nachylił się ku północy. O w pół do dwónastej zostawił Burka Edmunda samego w sypialni a sam wyszedł obaczyć, ażali jest już światełko w łazience. W chwili potem powrócił, mówiąc:

— Chodźmy panie, schadzka się już odbywa,—słyszałem nawet rżenie konia gdzieś w głębi parku.

I Burka miał minę triumfującą, jak każden człowiek dopinający nakoniec długo i niecierpliwie oczekiwanego zamiaru, — ale Edmund zdawał się już martwym w połowie. Namiętności jego go umęczyły, twarz jego wyżołkła i wszelkie władze go opuściły, zdawał się być podobnym do tego, któren po odczytaniu wyroku śmierci przeczuwał trzy dni i nocy w męczeństwie i zgrozie, i nakoniec otworzono drzwi jego więzienia, ażeby go zawieść na rusztowanie. Na wiadomość Burki, że już się schadzka odbywa, oczy jego się rozświeciły, poruszyły się wszystkie muszkuły, oddech się zaparł w piersi, zerwał się z miejsca i szedł za Burką, ale szedł jak na ścięcie.

Szli więc środkiem pałacu przez różne komnaty, szli na palcach, rospatrując się i podsłuchując co chwila — aż przyszli do salonu Adeli, graniczącego z jej sypialnią. Tutaj na ich wejście szelest jakiś dał się im słyszeć w kącie, Edmund zadrżał, ale Burka skoczył zaraz w miejsce szelestu i pochwycił jakąś żywą osobę w ręce. Z tą osobą, zatkawszy jej usta, wrócił natychmiast nazad o parę pokojów i pociągnął za sobą Edmunda. Po przypatrzeniu się bliższem pokazało się, że to była panna służąca Adeli, która teraz była struchlała i na wpół omdloną, ale przedtem była tam postawioną przez panię swoją na straży. Uskuteczniwszy taką inkwizycyę na prędce, zostawił on tę pannę nieszczęsną w jednym z środkowych pokojów i wziąwszy Edmunda, zamknął drzwi na klucz za sobą. I szli dalej tym samym trybem jak przedtem. Aż przyszli do sypialni hrabiny, w której było ciemno zupełnie, lecz do której mdławe światełko wpadało przez otwarte drzwi, umieszczone nad kręconemi schodkami. Stanęli nad ich brzegiem i słuchali, nachylając się wewnątrz łazienki. Cisza była przez kilka sekund — lecz niebawem dało się

od razu słyszeć dwa głosy, — jeden męski a drugi kobiecy; — zdawało się jak gdyby się kochankowie dopiero witali. Edmund przez chwilę ciszy był jeszcze martwym i niby zakrzepłym, lecz te głosy rozbudziły od razu wszystką krew jego. Rzucił się też jak szalony, w dwóch skokach zostawił za sobą wszystkie schodki kręcone i niekręcone i nagle, jak duch jaki północny, spadający z krużganku, stanął na posadzce łazienki. I tajemnica stanęła przed nim odkryta w całej swojej rzeczywistości.

Adela siedziała w jak najroskoszniejszej pozycyi na sofce i tuliła do siebie, całującego jej piersi i obejmującego ją swemi ramiony — huzara.

Przerażeni hukiem tak nagle wpadającego męża, odskoczyli oboje od siebie. Edmund cały rospłomieniony piekielnym gniewem rzucił się najpierw z wściekłością na cofającego się ciagle huzara, — ale ten, odskoczywszy od niego aż pod samą ścianę, wymierzył ku niemu pistolet, któren skądeś tak nagle się wziął w jego ręku, a podczas kiedy jeszcze słychać było trzask naciągającego się kurka, już się odbił zarazem o ściany łazienki grzmiący głos jego:

— Ani się rusz! jutro służę panu na wszystkie warunki, ale dziś palę w łeb bez żadnego warunku!

Na to Dziwożona krzyknęła przeraźliwie i zakryła obydwiema rękami oczy, ale na Edmundzie takie to skuteczne sprawiło wrażenie, że stanął jak wryty i skamieniał na miejscu a tymczasem huzar się pięknie z łazienki wycofał i zniknął.

W kilka sekund atoli Edmund się opamiętał i z taką samą furyą, z wyciągniętemi konwulsyjnie rękoma, rzucił się na Adelę. Wszakże teraz znów Burka pochwycił go z tyłu za biodra i pociągnął tak silnie ku sobie, że Edmund plecyma upadł w jego objęcia. Z czego zaraz przytomny, silny i energiczny Burka korzystał i porwawszy go silnemi ramiony, wyniósł po wschodkach do sypialni hrabiny. Edmund się trochę w rękach Burki szamotał, wołając głosem rozpaczliwym, lecz łzami zalanym:

— Puść mnie, puść! — i miotał nawet przekleństwa; ale temu wszystkiemu podołał Burka i niedźwiedzią siłą wyniosłszy go na górę, postawił na nogach na środku sypialni. Tam go znów porwał za rękę i raczej powlókł, niż poprowadził za sobą przez wszystkie pokoje, aż do jego gabinetu. Lecz i tu jeszcze, nie dowierzając jego rospłomienionemu gniewowi, który go ciągle z rąk jego wyrywał, zamknął drzwi na klucz i schowawszy klucz do kieszeni, zabrał się zaraz do surowej perswazyi.

Ale Edmund był w tej chwili w jakimś tak gwałtownym paroxyzmie, że nic go nie różniło od rzeczywistego szaleństwa, zaledwie bowiem wierny sługa jego przemówił słów kilka, on go porwał zwściekłością za obadwa ramiona i trzęsąc nim jakby młodem drzewkiem w ogrodzie, wołał mu w oczy:

— Czego ty chcesz odemnie, precz łotrze jeden! tyś mnie zabił! zamordował, tyś mi rozdarł duszę i serce wytargał z pod żeber! — i patrzył obłąkanemi oczyma na niego i zapienionemi usty miotał na świat cały przekleństwa.

Potem wypuścił go z rąk swoich, dygotających jak w paroxyzmie, rzucił się w fotel i płakał, jęcząc i zachodząc się w płaczu jak dziecko. Boleść straszna, piekielna musiała rwać duszę jego a jej widok musiał być równie okropnym i chwytającym za serce, bo stary Burka, w którego zakrzepłych źrenicach nigdy łzy nie postały, płakał z nim razem i łkał tak głośno, że go słychać było na całą komnatę.

Ale po chwili inne znów uczucia musiały nawiedzić serce Edmunda, bo zerwał się nagle z fotelu, pobiegł prędko do swego łóżka i porwał pistolety, które tam na ścianie wisiały, wołając głosem drżącym i rospaczliwym:

— Nie! ja tego nie zniosę! ja ją zabiję, siebie zabiję!... niechaj wszystko zaginie od razu!

Burka poskoczył za nim, broń wydarł mu z ręki i trzymając go silnie za ramiona, wołał do niego:

— Panie! zlituj się! opamiętaj się! ona nie warta twojego życia!

— Nie warta! prawda! — zawołał Edmund, — ale ona odebrała mi życie, niechaj-że odda mi swoje! ja ją roztargam, zniweczę, wrzucę ją do lochów podziemnych na wieki!

— Panie! mówił znów Burka, — mścić się, pastwić się nad kobietą, to nie jest rzecz męska. Kobiety, to słabe stworzenia...

— Nie mów tego! — krzyknął gwałtownie mąż Dziwożony, — nie słabe są, kiedy tak wielkie mogą popełniać zbrodnie!

I chodził znowu po komnacie, klnąc i złorzecząc, rospaczając i skarżąc się rzewnie. (D. c. n.)

GWIDO.

przez **Henryka Jabłońskiego.**

(Ciąg dalszy)

XI.

Godową chatkę przystrojono w wieńce,
Zbiera się zewsząd drużyna wesoła;
Jak kwiaty polne w wiosennej sukience
Taką radością świecą młode czoła,
Taką radością tryskają rumieńce.
Rzekłbyś, ujrzeli jasnego anioła,
Co im raj ziemski otwiera w przechodzie,
Co ich w niebieską poprowadzi bramę;
Rzekłbyś, nie wiedzą, że jutro o głodzie
Dzień powitają w głos: *„moro di fame!”*
Tu skaczą w szale — tam jęczą w przygodzie.

Lud wszędzie jeden, — i nędza ta sama,
Wszędzie się błotem, jak źwierzę pokala;
Uderz w swobodę, to piekłem zapłonie

I duch wyleci, co grody rozwala, —
I grób rozburzy, — i ziemię pochłonie.

Uderzę w strony — a mętna ta fala
Na jasne, czyste przemieni się tonie —
I Bóg się przejrzy w fali źwierciadlanej,
Jak słońce w morzu — i zostanie z nami.

Uderzę w strony — a z piersi wezbranej
Wypłynie miłość pełnemi tonami,
Pobłogosławią tej gwiaździe zesłanej,
Uznają piękność, będą aniołami! —

«*Signor Polacco!* coś-bo pogrzebowo!...
Precz z taką nótą! — tu są przecież gody! —
Tańca jakiego! — albo piosnkę ową:
»Co to dziewczyna poszła na jagody,
Zamiast jagódek twarz miała różową;
A drugą stroną wracał panicz młody»...
Albo co chcecie — byle nie te treny!
Per bacco! psy tak śpiewają na dworze!
Może ze dzbanka pociągniecie weny?
Lub dajcie skrzypce! — to ja zagram może.
Wy cudzoziemiec — pewno macie spleny?!
Zagracie sobie — lecz o innej porze.»

Szalony taniec wre kołem wirowem,
Śpiewy i śmiechy — a mnie łza na oku.
Kocham, cóż począć z tym ludem surowym?
Zakląć? — nie pojmie słów uroku nawet;
I jasna gwiazda z zbawieniem ludowem
Nikła, — i znikła w różowym obłoku...

XII.

Noc włoska, cicha, wonna i marząca,
Gwiazdy się palą, świecą jak w koronie
Madonny perły; wiater ledwie trąca
Kielichy kwiatów, ledwie plusną tonie,
Po niebie czasem płynie chmurka drżąca,
Biała, jak muślin w dziewiczej zasłonie.

Noc włoska, pełna natchnienia i czaru,
Duch się moj prosi i pod sercem kwili, —
A w sercu burza — oczy pełne żaru...
Porywam skrzypce, nie chcę tracić chwili, —
Chcę się upoić... ze strón jak z puharu
Nektary płyną, — duch się wyrwać sili.

Każden mój akord, jako deszcz wiośniany,
Orzeźwiający, wonny, brylantowy —
Bryzga po łąkach, — i w gwiazdach skąpany,
Tęczami dźwięków na gaj wawrzynowy
Spada, — i dalej stokroć połamany,
Gdzieś, gdzieś daleko płynie przez parowy.

Akordy moje, jak słowików stada,
Ledwie skrzydłami lekko strony trącą,
Już ich głosami okolica gada,
Lecą po kwiatach, a kwiatu nie trącą,
Wieją po rosie — a rosa nie spada,
Płyną po fali — a fali nie zmącą.

A z każdym tonem duch się mój rozpływa,
I leci w przestrzeń harmonijnym deszczem;
A każden akord po sercu przepływa
Płomieniem drżącym, albo zimnym dreszczem; —
Melodji anioł, w świat mię swój porywa,
Czuję jak wieje we mnie ogniem wieszczem!

— «Angelo moja! śpij biały aniele!
Ja sny ci w złote opromienię tony....
A na wezgłowię srebrną pieśń pościelę.
Dźwięki me jasne, jak perły
Królewską szatą okryją Angelę,
Ja sam ujrzawszy uklęknę zdumiony,
Jak przed królową.»
— «Nie chcę być królową!
Ja chcę miłości, jako kwiaty słońca.
Kamelja lepiej świeci mi nad głową,
Jak twa korona sławą promieniąca,
Chodź! — pocałunkiem prześnij noc majową...
Pieścić się! — pieścić! — i pieścić bez końca!

Tu do mnie, do mnie, o pieszczoty moje!
Patrz, patrz mi w oczy, to spojrzeniem spalę,
I pocałunkiem w urok cię upoję;
W ustach twych stopię moich ust korale,
Ze łzami twemi chcę łzy mieszać moje,
O pierś roztrącać białą pierś, jak falę.»

Taką miłością upojona cała,
Drżąca, płomienna padła w me objęcia:
»Luby! miłości, pieszczoty!» szeptała,
I tak usnęła cichym snem dziecięcia....
I jam był drżący, lecz pierś moja drżała,
Duchem, co rwie się, prosi wniebowzięcia.

Angela moja, jak kwiatek bez rosy,
Bez pieszczot więdła, bladła łzą tajemną...
Mię ze snu wieszcze porywały głosy,
I duch melodji cudem wiał nademną, —
Mnie gwiazdy świecą, nęcą świetne losy; —
Cóż że kwiat jeden w noc się słania ciemną?
Że jedno serce usecha tęsknicą?

Muzyka czarem wiała rusałczanym,
I ziemskie oczy ćmiła błyskawicą,
Była mi wszystkiem: aniołem, szatanem,
Życiem i wiosną, kwiatem i dziewicą;
I snem północnym i pacierzem ranym.

Angela gasła, — czarne, pełne oczy,
W głąb zapadały, siniały do koła,
W siność się mienił koral ust uroczy,
Zmarszczki pokryły gładki marmur czoła,
I nie uwierzysz?! jasny włos warkoczy
Srebrzył się zimą, z bladych ust anioła
Nigdym nie słyszał skargi ni westchnienia.

Lubicie marzyć, jak dziewica kona,
W rozkwicie wiosny?
Inny skon cierpienia!
Na zwiędłem czole męczeńska korona,
A w bladych ustach słowo przebaczenia,
I twarz pożółkła, i łzą zespecona,
I włos przedwcześnie zbielały na głowie.

Dziewicy pięknej skon nawet pięknością,
Snem bez oddechu; ale nikt nie powie,
Że twarz męczeńska nie świeci jasnością
Większą, niż świecą pańscy aniołowie.
To sen zniszczenia, — lecz nieśmiertelnością,
Bogiem promienny.
Tak umarła ona,
Ledwie dla szczęścia życiem rozkwitnięta;
A dziecię, syn mój, cicho spał u łona,
To do umarłej wyciągał rączęta; —
I jej twarz blada i śmiercią zamglona,
Na śmiech dziecinny zda się uśmiechnięta.

Jam płakał graniem, ja dźwięcznemi łzami
Szukałem ulgi ranom, co tak bolą,
Troskom, co czoło zwieńczyły cierniami...
O! gorzkim płaczem grałem i niedolą!

Sąsiedzi słysząc ruszali głowami,
I przeklinali, szepcząc: «diavolo!«

Sam ty mię osądź! — byłemż ja zbrodniarzem?
Muzyka była moim rzewnym płaczem,
Jam graniem jęczał i łzy ronił razem....

Lecz odtąd byłem więcej jak tułaczem, —
Niby przed żywym szatana obrazem,
Wszyscy stronili, gdy wyszedłem za czem.

Słuchaj! ci sami, mściwi i okrutni,
Co się całując ranią sztyletami, —
Mię omijali surowi i smutni;
Wiesz jak nazwali? „diabeł ze skrzypcami!«

Za cóż? czy za to, żem ja nakształt lutni
Z bolu dźwięcznemi rozpłakał się łzami?!

Ich się nie pytaj! — bo ci skłamią wiele,
Aż czoło zblednie... Oni szepcą w uszy:
„Gwido zczarował i zabił Angelę." —
Nie wierz im bracie, bo niemają duszy!

W mem sercu święto, święto jak w kościele,
A przecie... czarno, jak w lochu katuszy.

(D. c. n.)

O POLSKIEJ KRYTYCE

przez

Antoniego Sozańskiego.

(Ciąg dalszy).

Dzieło Mochnackiego historyczne, któremu już Lelewel zapewnie nie bez przyczyny zarzuca stronniczość i sofisterye, ma tę główną wadę, że jako źródło do pamiętnej epoki zbyt tchnie osobistością autora, i kiedyś najoględniejszego jej dziejopisa do błędów historycznych lub do jego zupełnego potępienia zaprowadzi. Z tego, że Mochnacki obeznany z dawną historyką, jak tego jasno jego dzieła dowodzą, nic na korzyść zimnego opowiadania nie użył, do czego opis zdarzenia, w którym jednym z głównych był motorów, najlepszą mu nastręczał sposobność, z tego mówię musimy wnosić, że miał większe zdolności na namiętnego publicystę niż na historyka. Także pamiętnikiem nie można nazwać historyi powstania; bo brakuje jej prostoty i naiwności, dwóch nieodbitych własności każdych pamiętników, a znów za wiele w niej rozumowań i kombinacyj. T. Wrotnowski napisał prawdziwe o powstaniu pamiętniki. Niemasz więc dla niej innego miejsca, jak wśród tych pism historycznych, które zachwycają talentem autora, ale nie zupełnie są wierne obowiązkom historyka, do których także należy znajome dzieło „o ustanowieniu i upadku konstytucyi" wypracowane poczęści przez Kołłątaja, z którym Mochnackiego wiele rzeczy wiąże.

Nie tyle zarzutów a więcej pochwał mamy dla jego dzieła o literaturze, którego pierwszy tom w roku trzydziestym wyszedł; nieukazanie się dalszych utrudnia sąd o autorze, bo w teraźniejszej objętości, brakuje nam wiele do końca dzieła. Aby go należycie ocenić, trzeba się wprzód rozpatrzyć, w jakim stanie zostawała na tenczas literatura polska? Mićkiewicz studiował Bayrona, z lekka nadsłuchiwał Getego, i każdym wierszem co napisał, poruszał całą Polskę. Właśnie co zakończyła się walka romantyki z klassyką a w polityce gotowały się ważne zajścia. Inny, niemniej stanowczy akt owej chwili był ten, że w ten czas przysposabiał się proces decentralizacyi literackiej, bo w rok od powyższej daty już nie sama Warszawa jak to bywało dotąd, uchodziła za ognisko życia umysłowego, ale literatura rozpierzchła się po całem dawnem państwie i po obczyźnie. Otóż dzieło Mochnackiego ma tę nieoszacowaną wyższość nad wszelkie inne tego rodzaju, że przemawia na wzór mowcy, który odzywając się do hurmem zgromadzonych słuchaczy, głosem ufności i nadziei, zostawia ich w zachwyceniu. Tylko Kazimierz Brodziński, ale na innem polu, wyrównał Mochnackiemu w pojęciu i w wykładzie polskich rzeczy.

Jak przodkował w rozumowem przetrawieniu sprawy historycznego odrodzenia, tak zarówno dał pierwszy przykład, aby dzieła poetów naciągać do wymagalności abstrakcyjnych. Słowacki był skromniejszym w zastósowaniu filozoficznych o pięknie prawideł do utworów pięknej literatury; Mochnacki już wiele w tej mierze postąpił i tyle zapuszcza się w spekulacye, że stanowi jutrzenkę estetyki narodowej. Nie będziem wynajdywać oryginalnych systematów, z których powstała skombinowana, a w dziele o literaturze wcielona konstrukcya Mochnackiego; powiemy tylko, że autor należy do szkoły empirycznej i z tego stanowiska oceniając Malczewskiego, Mićkiewicza i Goszczyńskiego, przy takiej przepadzistej różności zasady krytyka i krytykowanych, byłby się więcej mylił, gdyby z tymi autorami nie była go jedna dążność łączyła.

Często dając się myślom unosić w niepotrzebne odstępy, zbacza od swego przedmiotu. Takim zboczeniem jest

n. p. porównanie polskiej literatury z rzymską; porównanie dość szczęśliwe ale nie stosowny doń wybór okresu polskiej literatury. Mochnacki przeczy i słusznie, że poemata jak Marya, Grażyna, Zamek Kaniowski są tej samej wartości co Eneida, ale czasy w których te dzieła powstały, nic z sobą wspólnego nie mają; nie można ich zatem porównywać. Niechby zestawił K. Węgierskiego z Juvenalem a Trębeckiego z Wirgilim, to zawszeby za wiele naciągał, ale przecie byłoby podobieństwo większe. Ma zresztą to szczególnego Mochnacki, że w brew przyjętemu zwyczajowi w nowszej literaturze polskiej wykształcił się na dzielnego pisarza bez autorowania poezyą.

Nie co do krytyki ale co do przyjęcia płodów naszych poetów; lat dwadzieścia i cztery w życiu narodu nie jest tak długim czasem, aby od ukazania się dzieła o literaturze polskiej mieliśmy z gruntu zmienić kierunek umysłowy; brzemienni w te same co i Mochnacki usiłowania nie celem ale środkami różnim się od niego.

Przystępujemy do Mich. Grabowskiego. Dziennik „Czas" umieścił niedawno w części artystyczno-literackiej rozprawkę o tym krytyku, napisaną z żółcią i z niewiadomością; z żółcią, kiedy śmie pisarzowi wyrzucać bardzo szacowne lubo nie rozpowszechnione wyznanie religijne; niestety minęły już czasy prześladowań kronikarza Bielskiego; z niewiadomością, kiedy twierdzi, że Grabowski zaskorupił się w raz przyjętych zdaniach, i jest tylko echem Mochnackiego. Nikt bowiem nie zaprzeczy postępu Grabowskiemu od napisania „lit. i krytyki" do feletonowych artykułów w Gazetach Warszawskich i nikt go nie posądzi o plagiatorstwo na Mochnackim, jeśli przeczyta na str. 150 w dziele Mochnackiego o literaturze, gdzie Mochnacki nazywa Grabowskiego „jednym z najznakomitszych krytyków naszych;" dowód jasny, że Grabowski jeśli nie pierwej, to równocześnie rozpoczął swój zawód literacki a nigdy nie mógł Mochnacki, jak to złośliwy twierdzi autor pomienionej rozprawki, wpływać na ukształcenie krytyki Grabowskiego. Lecz inne ma wady Grabowski, od których go wszakże kraj gdzie mieszka zupełnie tłumaczy. Pisma w Królestwie nadgradzają pięknem wysłowieniem wodnistość treści a takiego surogatowania najmniej krytyka nie cierpi; jeśli tedy ona sama musi przybierać taką postać, cóż dziwnego że krytyk, naśladując słowika, który uchodzi do gęstej krzewiny przed skwarem słońca, i ztamtąd swe pienia wydaje, ukrywa swą myśl przed jadem ludzkim w starannie ułożone słowa? Bo kogoż nie wzruszy taki n. p. ustęp z listów Grabowskiego o dzisiejszem powieściarstwie: „Tymczasem sama ta kraina tradycyj, okazała się tem, „czem nikt się nie domyślał, ażeby była. O miedzę ledwie „od naszych dni odległa, a przegrodzona od nas jakby „ścianą diamentową, przeszłość zupełna i skończona, z ty„pem charakterów i wypadków, jakich dziś nigdzie słoń„ce nie widzi, a rzeczywistością całkiem poetyczną, gdzie „wszystko występuje w stylu wielkich wymiarów, gdzie „wszystko nosi cechę oryginalności i artystycznego gran„dioso."

Mój Boże! co-by za dzieła napisał autor takiego periodu, gdyby w innej znajdywał się atmosferze! Tak piękny styl świadczy o znajomości architektoniki języka; lecz częstem używaniem nawiasów, traci na płynności; jest czasem profesorski a lubo rozciągły, przecie treściwy i nauczający; słowem podobny do stylu utworów, których krytyką Grabowski wyłącznie się zajmuje; do stylu powieści. Grabowski daje powieści pierwszeństwo przed każdą poezyą a Walter Scottowi przed każdym poetą; szkoda że nie próbował swych wielkich zdolności w ocenieniu liryki lub dramatu. Zawsze należy mu zasługa, że pierwszy pisał obszerne i przedmiot wyczerpujące dzieła krytyczne.

(D. n.)

DZIECIOBÓJCA.

(Z opowiadań Antoniego Pietkiewicza.)

(Ciąg dalszy).

A tuż przy cmentarzu naszym, nieboszczyk nasz bat'ko zaczął był stawiać kaplicę dla siebie na mogiłę; bo mówił: długi wiek przy moich kochanych dzieciach przeżyłem, to i po śmierci przy nich niech spoczywam. I pochowali ich na tem miejscu oboje ale tylko fundamenta kaplicy stały wzniesione przez nieboszczyka; da cegły i kamienie leżały co on nazwozić kazał. Bo syn, nie tylko że kaplicy nie skończył, ale nawet krzyża na rodzicielskim grobie nie postawił. To nasza gromada, za wspólną radą wykuła wielki krzyż z kamienia, i mimo wiedzy panicza, cichaczem go postawiła na drogich swych panów mogile, i ogrodziła ją wysokim płotem, żeby zwierz dziki jej nie znieważał. To i tam poszedłem, i modliłem się z płaczem do świętych duszeczek pana i pani, by się pokazali choć we śnie synowi, i bożym pogrozili mu gniewem. I wypłakawszy się i wynurzywszy swój żal mogiłom, ze lżejszem sercem wróciłem do chaty."

„Ale łzy moje nie przebiły grobów, modlitwa moja nie przebiła niebios, i panicz Zoni pokoju nie dawał."

„Ot jednego razu, po długich a gorzkich dumach, odurzały z żalu poszedłem z głupią myślą do panicza. Miłościwy panie! powiedziałem — nie pożałujcie fatygi, a pójdźcie no ze mną; ja wam skarb pokażę taki rodziców waszych, weźcie go do siebie, a obróćcie na dobre."

„Uradował się panicz bez miary i w skok pobiegł za mną. A było to już dobrze nocą, a noc była ciemna, choć oko wykol. Czarne chmurzyska zaciągnęły niebo, parno było, a cicho, a głucho, jak w grobie; jak gdyby świat cały wybiła zaraza. Czasami tylko grom padał w oddali i niebiosy wstrząsał. Szliśmy w milczeniu, i zaprowadziłem panicza na rodzicielską mogiłę. I klakłem.... błysnę-

ło i cały świat ogniem oblało, i krzyż na grobie ogniem paniczowi błysnął. — Co to jest?! krzyknął... Zagrzmiało aż dzwony jękły w cmentarnej cerkwi, i z długiem echem grom się przewalał z chmury na chmurę... ucichło. — Klęknijcie paniczu — rzekłem, a pomódlcie się Bogu; to grób rodziców waszych. Panie świeć ich duszy! — Głupiś! — krzyknął panicz, gdzie skarb zakopany?! — Ja ciągle klęcząc, mówiłem ze łzami: Tu panie skarb ten zakopany, skarb najdroższy w świecie, droższy nad skrzynie klejnotów — serca to rodziców waszych, a nich cnota święta. Weźcie ją miłościwy panie do siebie, a obaczycie, że prawdę wam mówię — a obaczycie, że szczęście wam złotą ręką się poleje. Znajdziecie skarb wielki, miłość u ludzi i miłość u Boga; weźcie tylko skarby serc rodzicielskich.«

— «Ach ty łajdaku! zakrzyczał panicz — ach ty buntowniku! ty będzisz mi nauki prawił! I miły panie, kijem co miał w ręku, nie patrząc ni oka ni boka, zbił mię aż do krwi, i obumarłego porzucił na grobie.»

«Nie wiem, jak długo leżałem; wtem błyskawica jak złotym mieczem rozkroiła niebo, chmury się rozbiegły, i drugi raz w życiu ujrzałem otwarte niebiosa. Teraz przypomniałem sobie, co mówią ludzie, że jak Bóg wszechmocny dozwoli komu to cudo oglądać, to o coby tylko w tej chwili poprosił, otrzyma. Zacząłem więc wołać ze łkaniem: Boże zlituj się nad Zonią! Boże zlituj się nad Zonią!.... I niebo się znowu zamknęło, znów stało się ciemno jak w grobie do koła, tylko na mogile gorzał krzyż płomieniem i klęczały dwa jasne duchy pochylone nademną. Kiedy ja patrzę, aż to nieboszczyk pan z panią..... chciałem się porwać na nogi, ale nie mógłem z wielkiego bolu. Zacząłem płakać i ręce ich całować zakrwawionemi ustami. I oni płukali, a łzy ich padały na moją głowę; a gdzie która padła na krwawą ranę, to taką ulgę zrobiła, jakby czarodziejska owa woda życia. Pani zdjęła z swych ramion śnieżną chuścinkę i obwiązała nią moją pokaleczoną głowę. Potem oboje ucałowali mię w czoło i znikli niebieskie duchy.»

«Odżyłem, spojrzałem: tylko co zaczynało na brzask się zabierać, bo było ciemniej niż zwykle o tej porze, bo wszystkie chmurzyska na wschód się zsunęły i nieruchome leżały, jak świeża, czarna, ogromna mogiła na pobojowisku. Po drodze mimo cmentarza, pomykał się jakiś bogaty powóz, i zdało mi się, że ktoś przez okno spoglądał na mnie. A od mojej głowy taki się zapach rozchodził jakby od rajskich kwiateczków, wziąłem się ręką za nią i spostrzegłem, że była obwiązana chuścinką. Wtedy przypomniałem sobie i niebiosa otwarte, i duchy państwa, i gniew panicza i zuchwalstwo moje; bo rany już mię nie bolały nic a nic. Pomodliłem się gorąco na mogile i pociągnąłem do chaty.«

»Ledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, kiedy mię nagle uderzył w oczy bury słup dymu, wznoszący się z dworskiego toku. Aż w piersiach mię ścisnęło od strachu, bom poznał, co się to znaczy. Dniem przedtem, przychodził do mnie Iwan Basista płacząc i przeklinając panicza. Miał on jedynaczkę krasną dziewuchę, zaswatał ją z poczciwym chłopakiem, synem bogatego gospodarza, i w przyszłą niedzielę mieli już stanąć pod wiankiem. Lecz panicz skrzywdził Jeudoszkę, chłopiec jej się wyrzekł, a ona biedna rzuciła się w rzekę z sromoty. Iwan był twardego serca i straszny w gniewie. Przyznał się przedemną, że krzywdy i śmierci swojego dziecka nie podaruje paniczowi. — Niech go Bóg pobije mówił — ja rąk swych nie skalam w jego krwi nieczystej, ale mu z dymem puszczę wszystkie jego sterty, to i sobie pociechę sprawię, i całej włości lżej będzie — nietyle pracy. Ja go prosiłem, ja go zaklinałem, żeby zaniechał szalonej myśli; groziłem mu i karą ludzką i gniewem Bożym; on milczał jak skała i z czarną dumą na czole rozstał się ze mną.»

»To jak dym z toku spostrzegłem, zgadłem co to się dzieje. I nie czując bolu i znużenia, przez niwę, przez jary, jak kula biegłem w tę stronę. Chwała ci Boże! myślałem, przybiegłem w porę. Jeszcze płomień nie buchnął, sam ogień zagaszę, i nikt się niczego nie domyśli. I nierozumny, zacząłem wyrywać tlejące snopki, deptać je nogami, i krwawiąc i parząc ręce, przyduszać piaskiem coraz się bardziej zajmującą stertę... naprożno!... a tu jeszcze i wiatr przyskoczył.... cały tok objął się płomieniem. Rzuciłem się czem prędzej do wsi, by ludzi na ratunek zwołać, i niezważając na tlejące na mnie odzienie, ostatnich sił dobywając biegłem przez pole.«

»W ślad za mną czterech konnych pędziło, — dognali. Stój! stój! krzyknęli: zeskoczyli z koni, wpadli na mnie gwałtownie, porwali skrępowali powrozem. Był między nimi i panicz. Poznawszy mnie, krzyknął: A to ty, szelmo! buntowniku, to to ty mnie sterty podpalasz! I w gniewie znowu mię zaczął nahajką okładać bez miłosierdzia.«

»Wiedziałem co to ma znaczyć. Bijcie mnie już panie rzekłem, ale posyłajcie do wsi, niech ludzie idą ratować. Uderzył mnie jeszcze z dziesięć razy, a potem krzyknął na dwóch konnych, żeby biegli do wsi i nahajkami pędzili gromadę na ratunek, a strzeciemu kazał mnie zaciągnąć na tok; i sam jechał przy mnie.

«Na toku ani żywej duszy nie było, a ogień bujał i buszował i aż pod niebo rósł wysokim słupem.... Przybiegł posłaniec ze wsi zadyszany cały:—Jaśnie panie! zawołał, nikt na ratunek iść nie chce, i jeszcze mówią: chwała panu Bogu! — Bestje! krzyknął panicz, ja ich nauczę!.. Wziąć jeszcze kilku kozaków, i z nahajkami obejść wszystkie chaty, bić choćby na śmierć łajdaków!— Kiedyż bo

mówią, odpowiedział posłaniec, że choćby ich chcieli i pozabijać, to nie pójdą.”

„Panicz z gniewu i żalu aż włosy rwał sobie z głowy, a ja stojąc zdala jak przypomniałem sobie dzisiejszą nockę i duchy miłosiernych państwa, tak mi się potokiem łzy z oczu puściły, z litości nad ich obłąkanem dzieckem. I płakałem, płakałem... zdawało się, że i duszę wypłaczę. — Jaśnie panie! odezwał się któryś z konnych, niech jaśni pan rozkaże Koźmie, żeby zwołał gromadę, to może jego posłucha, bo on całą wioską trzęsie.— Kiedyż to on szelma podpalił! krzyknął panicz, i przyskoczywszy do mnie zaczął bić znowu bez litości, a ja tylko wołałem: Panie miłościwy! jam nie winien! jam nie winien!”

«Nabiwszy się do woli, znowu krzyknął panicz, żebym szedł gromadę wołać na ratunek. Dwaj konni wzięli mię pomiędzy siebie i na powrozie zaprowadzili do wsi, a ciągnąc ulicą od chaty do chaty, kazali bym namawiał ludzi iść pożar gasić. Zrobiłbym to i bez rozkazu, tylkoby mię lepiej posłuchali. A to jak obaczyli, żem skrępowany i zbity, tak ledwiem ich uprosił, umodlił, żeby przewodnikom moim nic nie robili złego. Wyskoczył i Janko z Zonią, i zobaczywszy co ze mną się działo, zaczął wykrzykiwać groźnie i gromadę wołać do siebie i ledwie nie ledwie go ująłem, a Zonia biedna prosto obumarła z żalu, i ludzie już ją do chaty zanieśli. A do pożaru nikt ani jednym nie postąpił krokiem i cały tok zgorzał ze szczętem i ani jeden kłosek nie ocalał, ani jedno ziarnko.” (D. n.)

Galerya wodzów w teraźniejszej wojnie.

17) Franciszek Certain-Canrobert.

Jenerał dywizyi i tymczasowy dowódzca armii francuskiej pod Sebastopolem.

Franciszek Certain-Canrobert urodzony w roku 1809 w departamencie Lot, niedaleko od miejsca urodzenia Murata, wszedł w listopadzie roku 1826 do zakładu wojskowego w St. Cyr, a po dwu latach wystąpił i 1. października 1828 r. dostał posadę podporucznika w 47. pułku liniowym. Dnia 20. czerwca 1832 r. podniesiony na stopień porucznika, przybył w r. 1835 do Oranu, wziął udział w wyprawie maskarskiej przeciw Abd-el-Kaderowi, odznaczył się przy wzięciu Tlemezenu, nad Szeliffem, pod Arszgun, la Mina, Sida-Jakub, nad Tafną i Sikkakiem, postąpił w roku 1837. na kapitana, został raniony przy szturmie Konstantyny i powrócił w roku 1839 do Francyi. W następującym roku był w obozie pod St. Omer, a roku 1841. z 6tym batalionem pieszych strzelców udał się na nowo do Afryki. Po kilku potyczkach przeciw pokoleniu Beni-Menasser został nasamprzód szefem batalionu w 15. pułku liniowym, a 22. maja 1842 r. naczelnikiem piątego batalionu strzelców. Był już oficerem legii honorowej, gdy go mianowano 26. paźdz. 1846 r. podpułkownikiem, został wkrótce szefem 2. pułku liniowego, a 31. marca 1848 r. mianowany pułkownikiem przy 2. legii cudzoziemców.

W roku 1849. podczas wyprawy w Zatsza odznaczył się wielką energią i okazał wielki talent wojskowy, został po zwycięstwie pod Nara dnia 13. stycznia 1850 r. mianowany jenerałem brygady, i powrócił do Paryża, gdzie go książę prezydent swoim adjutantem a 14. stycznia roku 1853 jenerałem dywizyi mianował. Wkrótce objął w obozie pod Helfaut kommendę dywizyi pieszej, przeszedł potem do pierwszej dywizyi pieszej, i na jej czele popłynął na Wschód, a obecnie po śmierci marszałka St. Arnaud objął naczelne dowództwo całej armii francuskiej i Sebastopol oblega. Posiada on w wysokim stopniu zaufanie i przychylność nietylko armii swojej ale i całego narodu. Nie jest on tak śmiały, jak zmarły marszałek, ale więcej rozważający, lecz powziąwszy plan, z największą energiją przystępuje do wykonania, i Francuzi spodziewają się po nim mniej szumnych odezw, ale natomiast więcej bulletynów bitw.

Rozmaitość.

* Cesarzewicz Jego Mość, Arcyksiążę Karol Ludwik wyjechał we czwartek w podróż kilkudniową, w Podgórze samborskie i stryjskie, aby zwiedzić miejsca kąpielowe, warzelnie i huty żelazne. Towarzyszy mu w tej podróży Jego Excellencya hr. Namiestnik. W czwartek był w Lubieniu na obiedzie u właściciela tych dóbr, barona Brunickiego. —

* Przed rokiem młodego człowieka w Warszawie aresztowano z powodu, iż w towarzystwie miał o rządzie tamtejszym jakąś niekorzystną uwagę uczynić. Dokąd go potem wywieziono, nikt nie wiedział. Aż niedawno brat jego, pracujący w biorze bankiera w Gdańsku, otrzymuje od niego list z Paryża. Uwięziony znajdował się w Bomarsundzie. Po zdobyciu tej fortecy znaleźli go w kazamatach z kilku innymi politycznymi więźniami przywrócili wszystkim wolność i odesłali do Paryża.

* **Ancelot.** Niedawno umarł w Paryżu Ancelot, autor wielu utworów dramatycznych, z którego życia wiele zabawnych ustępów różne pisma francuskie przytaczają. W 17. roku życia udał się do Indyj, i podczas tej podróży napisał swoją pierwszą komedyą: «Przyrzeczenia;» właśnie gdy ją kończył, wpadł w morze, z wielką trudnością wyratowano go, ale komedya zatonęła. Wysiadłszy na ląd, napisał ją na nowo z pamięci, ale tymczasem popadł rękopis w ręce wujaszka, który zaciętym był nieprzyjacielem wszelkich wierszów, i rękopis bez pardonu skazał na spalenie. Lecz Ancelot za powrotem swoim do Paryża wyswobodziwszy się z pod opieki wujaszka, na nowo rzucił się do wierszów, ale tą razą ostrożniej sobie postąpił. Wyrobił on 5aktową tragedyą: „Werbek,” ale tylko w głowie, udał się do Théâtre français, i deklamował ją całą przed komitet em. Gdy podczas tego, aby odetchnąć cokolwiek i szklankę wody wypić, na chwilę przestał w recytowaniu, zarzucił mu dyrektor teatru: «Ależ mój młody panie, rękopis pono zapomniałeś wziąć ze sobą.« «Muszę się przyznać, — odpowiedział Ancelot, że sztuki tej wcale nie mam napisanej, jeśli ją panowie odrzucicie, to ją zapomnę, i tem mi lepiej.» Sztukę tymczasem przyjęto, i autor począł ją zaraz kilku pisarzom dyktować. Nadzwyczajna pamięć aż do śmierci mu została.

Przyjechali od dnia 25. do 26. października do Lwowa:

PP. Frank Ferdynand, z Nahaczowa. Jędrzejowski Dawid, z Czapel. Jaruntowski Jan, z Hermanowic. Konarski Franciszek, hr. z Chrewty. Hausner Henryk, z Złoczowa. Chrzanowski Ignacy, z Ćwitowy. Prytyka Karol, z Tucznego. Listowski Józef, z Kontów. Doliniański Seweryn bar., z Dolinian. Rieger Józef, z Brodów. Stankiewicz Kajetan, z Nadyb.

PP. Kotlarski Antoni, z Wadowic. Łukaszewicz Kajetan, z Chocimierza. Brotschiner Jan, z Wycina. Brzozowski Wiktor, ze Stanisławowa. Korytowski Erazm, z Lubienia. Smarzewski Piotr, z Moczerad. Turkuł Tadeusz, z Lubienia. Wysocki Józef, z Łopatyna. Poten Fryderyk, z Łahodowa. Werchowski Edgar, z Pleśnian.

Wyjechali od dnia 25. do 26. października ze Lwowa:

PP. Lipiński Antoni, do Tarnopola. Borkowski Włodzimierz, do Brzeżan. Bąkowski Adam, hr. do Stanisławowa. Barański Michał, do Radłowic. Korytowski Erazm, do Lubienia. Turkuł Teodor, do Lubienia. Wierowski Ludwik, do Niemirowa.

PP. Górski Maciej, do Przemyśla. Engel Michał, do Milczyc. Jezierski Eustachy, do Niesłuchowa. Potocki Mieczysław. do Złoczowa. Łoś Tadeusz, do Tarnopola. Woyna Ignacy, do Pietrzyc. Malczewski Mieczysław, do Skwarzawy. Górski Wincenty, do Lipicy.

Kurs telegrafowany z Wiednia 27. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	100.	Medyolan za 300 lirów	117 3/4
Augsburg za 100 złr.	120 1/2.	Paryż za 300 franków	139 1/2
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	24 1/2.
Frankfurt za 120 złr. podług 24 1/2 stopy . . .	119 1/4.	Srebra agio	20
		Pożyczka 5% 84. 4 1/2	73 1/2.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	88 1/2.	Akcye banku	—.
Konstantynopol	—.	Kolej północna	1760.
Liwurno.	—	Obl. ind.	—
Londyn za 1 funt szterl.	11 36.	Nowa pożyczka z loterya	97 11/16.
Marsylia	139 1/2.	Pożyczka narodowa . .	87 3/4.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.** Gotówką towarem.

	Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 40	złr. 5	kr. 44.
Dukat cesarski	„ 5	„ 45	„ 5	„ 50
Półimperyał zł. rosyjski	„ 9	„ 58	„ 10	„ —.
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 54	„ 1	„ 56
Talar pruski	„ 1	„ 48	„ 1	„ 50
Polski kurant i pięciozłotówka . .	„ 1	„ 23	„ 1	„ 25
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„ 85	„ 40	„ 86	„ —.

Obligacye indemnizacyjne bez kuponu 73. 32 do 74 Złr. 20 kr.

Lwów 27. Październ. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 29 złr. — kr. do 30 złr. — kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 26 złr. — kr. Jęczmienia po 17 złr. 10 kr. do 20 złr. — kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 18 złr. — kr. Grochu po 25 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 16 złr. — kr. do 18 złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. — do 9 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 28 złr. 45 kr. do — złr. Sosnowego po 23 złr. 7 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. — kr. do 2 złr. 10. kr. Centnar słomy 1 złr. 30 kr. do 1 złr. 40. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 2 Złr. 6 kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**